

## Niepozorna kraina pozorów, czyli jak badać Mołdawię

Kamil Całus

Mołdawia należy do najwdzięczniejszych wśród wszystkich państw szeroko pojętej Europy Środkowej i Wschodniej obiektów badań analitycznych. Nie dzieje się tak ze względu na jej bezdyskusyjne walory, takie jak niezwykła gościnność mieszkańców, doskonała kuchnia (i cenione w świecie wina), przyjazny klimat czy atmosfera letnich wieczorów w centrum starego Kiszyniowa. Mowa raczej o specyficznych cechach i strukturze klasy politycznej, organizacji pozarządowych i szerzej – całego społeczeństwa. Sprawiają one, że dogłębne zrozumienie zachodzących tam procesów nie musi być trudniejsze niż poznanie tych, które mają miejsce gdziekolwiek indziej. Sprzyja mu nawet niewielki rozmiar Mołdawii oraz charakterystyczny układ urbanistyczny jej stolicy.

### Mały kraj wielkich problemów

Owej analitycznej „wdzięczności”, której źródła omówimy nieco później, nie należy jednak mylić z prostotą. Niektórzy badacze – zwłaszcza początkujący – wychodzą z założenia, że Mołdawię da się odkryć i „rozpracować” bez większego trudu. Cóż bowiem może być w niej skomplikowanego? To błąd – rzeczywistość tego niepozornego na pierwszy rzut oka kraju okazuje się bowiem mocno złożona.

Owo młode i niewielkie – bo zamieszkałe ledwie przez 2,4 mln osób i zajmujące powierzchnię mniejszą od Mazowsza – państwo jak w soczewce skupia w sobie wyzwania i zjawiska, z którymi często mierzą się dużo większe i bogatsze

kraje leżące na tzw. obszarze poradzieckim. Mamy tu więc do czynienia z permanentnym kryzysem gospodarczym (do pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Mołdawia zajmowała pierwsze miejsce w niechlubnym zestawieniu najbiedniejszych państw na kontynencie europejskim), separatyzmami, i to zarówno w wydaniu aktywnym (Naddniestrze), jak i potencjalnym (skrajnie prorosyjskie Terytorium Autonomiczne Gagauzi, które do 1994 r. nie uznawało zwierzchności Kiszyniowa), masową emigracją zarobkową (za granicą mieszka ok. 1 mln obywateli, tj. 40% populacji), niezwykle skorumpowanym i upolitycznionym wymiarem sprawiedliwości czy silnym oddziaływaniem lokalnych oligarchów na politykę i gospodarkę. O tym, że w kraju działają różne ugrupowania nie tyle realizujące rosyjskie interesy, ile wprost finansowane przez Kreml, nie musimy wspominać.

Szczególnym problemem dotyczącym republikę i w dużym stopniu definiującym jej politykę wewnętrzną, zagraniczną oraz kształt sceny partyjnej jest kwestia tożsamości. Ze względów historycznych spora część (choć raczej mniej niż połowa) członków narodu tytularnego uważa się *de facto* za Rumunów. Wielu z nich to zwolennicy tzw. Unirei – idei zjednoczenia Mołdawii z zachodnim sąsiadem. Stanowią oni obecnie 35–40% społeczeństwa. Mamy więc do czynienia z państwem, które ponad jedna trzecia mieszkańców uważa za „niekonieczne” i którego likwidację nie tylko oni dopuszczają, lecz niekiedy wręcz do niej wzywają. Ba! W kraju zupełnie legalnie funkcjonują partie polityczne, które z tego postulatu uczyniły fundament swojej narracji ideologicznej.

Kolejne 20–30% Mołdawian – podążając za narracją wpajaną im i ich rodzicom w czasach sowieckich – uważa się za naród odrębny od Rumunów i posługujący się językiem mołdawskim (w praktyce takowy nie istnieje – jest tożsamy z rumuńskim). Znacznie bardziej przyjaźni wobec Rosji niż ich rumuńscy rodacy, stanowczo sprzeciwiają się pomysłowi utworzenia z sąsiadem jednego państwa. Wtórują im stanowiące ok. 20% populacji rosyjskojęzyczne mniejszości – Gagauzi, Ukraińcy, Bułgarzy, Rosjanie etc., w których opinii utrzymanie niepodległości to jedyny sposób, by zagwarantować prawo do mówienia po rosyjsku oraz zachować dobre relacje z Moskwą. Bo Kreml względem Unirei kategorycznie oponuje.

## Pożytki z niewiedzy

Wymienione elementy czynią z Mołdawii twór złożony i wymagający od analityka nie tylko dozy pokory, czyli uniwersalnego przymiotu każdego dobrego badacza, lecz także ogólnej znajomości historii regionu oraz pewnych kompetencji i wrażliwości kulturoznawczej, socjologicznej, a nawet – przynajmniej częściowo – lingwistycznej. Bez tego polskiemu mołdawioznawcy, przywykłemu

do życia wśród ludzi o dość jasno określonej i głęboko zakorzenionej tożsamości narodowej, trudno będzie zrozumieć specyfikę wciąż kształtującego się społeczeństwa, którego spory odsetek przyszedł na świat przed uzyskaniem – pierwszy raz w historii – niepodległości przez ich dzisiejszą ojczyznę.

Na pocieszenie warto jednak podkreślić, że gdy idzie o studia nad Mołdawią, analitycy znad Wisły znajdują się w dość komfortowej pozycji wyjściowej. Kraj ten, mimo że odmienny od Polski, jest nam bowiem na tyle bliski kulturowo (oraz pod względem doświadczeń historycznych), że potrafimy niemal instynktownie zrozumieć znaczną część jego specyfiki, która dla ludzi Europy Zachodniej czy USA będzie na pierwszy rzut oka zupełnie obca. Zarazem jest on nam na tyle odległy, by nie wytwarzać w naszej świadomości żadnych istotnych stereotypów i klisz, które moglibyśmy bezwiednie przekładać i na siłę dopasowywać.

Taką właśnie przeszkodę musi pokonać wielu analityków z Rumunii i Rosji. Ci pierwsi co do zasady uznają Mołdawian za Rumunów, wychodząc z nie zawsze słusznego założenia, że obydwa społeczeństwa są do siebie uderzająco podobne, kierują się identycznymi motywacjami, wykazują zbliżone cechy i wyznają te same wartości, a ich klasy polityczne operują zasadniczo wedle tej samej logiki. Jeśli dzieje się inaczej, to zwykle pada diagnoza, że to skutek reprezentowania interesów Moskwy. Patrząc z perspektywy Federacji Rosyjskiej (FR) mają zaś skłonność do widzenia w Mołdawianach stereotypowego narodu poradzieckiego – zmanipulowanego, niechętnie angażującego się w politykę, kierowanego odgórnie.

W obydwu tych podejściach da się zauważyć pewien paternalizm, który w połączeniu ze wspomnianymi szablonami funkcjonującymi w umysłach niektórych komentatorów i analityków z tych dwóch państw sprawia, że postrzegają oni czasem mołdawskie realia tak, jak chcieliby je widzieć, a nie takimi, jakimi one w istocie są.

Tak na przykład Rumuni tradycyjnie z niechęcią odnoszą się do mołdawskich polityków, dziennikarzy i działaczy posługujących się na co dzień częściej rosyjskim niż rumuńskim, gdyż uważają ich po prostu za przedstawicieli Kremla i realizatorów interesów Rosji. I choć nierzadko ludzie ci faktycznie należą do obozu promoskiewskiego, to nie jest to wcale regułą. Liczni rosyjskojęzyczni Mołdawianie opowiadają się za opcją proeuropejską i udzielają się w inicjatywach na rzecz demokratyzacji lub wprost integracji ich kraju ze strukturami zachodnimi, nawet jeśli krytykują prozachodni obóz rządzący państwem w danym momencie.

Bywa także odwrotnie: dość rzec, że formalnie proeuropejskie, przychylne Bukaresztowi i generalnie rumuńskojęzyczne elity polityczne, które przejęły władzę w Mołdawii w 2009 r., doprowadziły do największego skandalu finansowego w jej historii poprzez współuczestnictwo w kradzieży z tamtejszych

banków miliarda dolarów w 2014 r. Wśród kluczowych odpowiedzialnych za to przestępstwo osób byli wykształceni w Rumunii były premier Vlad Filat oraz wspierany otwarcie przez socjaldemokratów – największe ugrupowanie w tym kraju – oligarcha Vlad Plahotniuc.

Pozory mogą więc mylić. Warto o tym pamiętać, bo nieraz w rozmowach z dziennikarzami, publicystami i ekspertami pochodzącymi przykładowo z Rumunii polski adept studiów mołdawioznawczych może być przekonywany – lub sam siebie przekonywać (choćby podświadomie) – że poglądy jego interlokutora są z definicji trafniejsze, gdyż jako bliski Mołdawianom kulturowo przedstawiciel tej samej grupy językowej rozumie ich lepiej. Cóż, zdecydowanie nie zawsze.

### Językowy języczek u wagi

Skoro o kwestiach lingwistycznych mowa, wspomnijmy o kolejnym wyzwaniu, z jakim analityk zajmujący się Mołdawią musi się zmierzyć. Otóż oficjalny język tego kraju – rumuński – nie cieszy się w Polsce szczególną popularnością. Jednocześnie rosyjskiego, leksykalnie dużo bardziej dla nas zrozumiałego i lepiej znanego, używa się nad Dniestrem i Prutem dość powszechnie, mimo że na szczeblu państwowym nie ma żadnego formalnego statusu. Jego rola i znajomość, szczególnie wśród młodzieży i w regionach sąsiadujących z Rumunią, wyraźnie jednak spada. O ile jeszcze kilkanaście lat temu badaczowi do dogłębnego śledzenia debaty publicznej czy porozumiewania się z lokalnymi mieszkańcami język ten w zasadzie wystarczał, o tyle dziś, powiedzmy to otwarcie, sytuacja jest zgoła inna – spory odsetek portali informacyjnych i audycji radiowo-telewizyjnych wychodzi po rumuńsku. Wprawdzie media rosyjskojęzyczne wciąż istnieją, a niektóre z nich – jak chociażby portal Newsmaker.md bądź biuletyny serwisu informacyjnego Infotag.md – utrzymują bardzo wysoki poziom dziennikarstwa, lecz coraz większa część treści, w tym śledztw dziennikarskich, publikowana jest właśnie w języku oficjalnym. Jeśli natomiast materiały te tłumaczy się później na rosyjski, to zwykle proces ten zajmuje od kilku godzin do (częściej) kilku dni. Tymczasem w pracy analitycznej nierzadko chodzi przecież o to, by z daną informacją zapoznać się jak najszybciej.

Zanik rosyjskiego w środkach masowego przekazu najwyraźniej widać w dziedzinie programów na żywo, zwłaszcza wszelkiego rodzaju talk-show, niezwykle popularnych w Mołdawii. Każda, nawet niewielka czy regionalna stacja telewizyjna ma w ramówce przynajmniej kilka takich pozycji, w trakcie których dziennikarze dyskutują z newralgicznymi postaciami życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Rozmowy te najczęściej prowadzone są w języku rumuńskim i stanowią doskonałe źródło ważnych faktów, ale też

smaczków, niezwykle przydatnych w zrozumieniu miejscowej rzeczywistości. Pojawiające się po ich emisji krótkie streszczenia zwykle pomijają jednak te smakowite szczegóły.

Co więcej, korzystanie tylko lub głównie z mediów rosyjskojęzycznych może wykrzywić spojrzenie badacza na mołdawskie realia. Mimo że obiektywne albo wprost prozachodnie redakcje posługujące się tą mową istnieją, to wiele innych mniej lub bardziej subtelnie promuje narrację zbliżoną do kremłowskiej. Poddając się dłuższej ekspozycji na ich przekazy, analityk ryzykuje, że przełoży się ona na jego percepcję sytuacji w kraju.

Warto dodać, że choć dobrze wykształceni przedstawiciele świata mediów i trzeciego sektora (a często także polityki) posługują się rosyjskim całkiem sprawnie, to już przykładowo młodzież zamieszkująca relatywnie duże jak na warunki mołdawskie miasta zachodniej części kraju (np. Nisporeni, Leowę czy Ungheni) może nie tylko nie być w stanie porozumieć się w tym języku, lecz nawet go nie rozumieć. Tu niekiedy w sukurs może przyjść nam angielski, który w jakimś stopniu znają też często członkowie wspomnianych wcześniej środowisk, ale wśród młodych i z tym różnie bywa. Akty prawne publikowane na stronach rządowych i oficjalnej witrynie parlamentu wciąż tłumaczone są co prawda na rosyjski, ale wydaje się tylko kwestią czasu, kiedy praktyka ta zostanie zarzucona.

Znajomość rumuńskiego – przynajmniej podstawowa – staje się więc coraz niezbędniejsza do uprawiania pogłębionej analizy mołdawskiej rzeczywistości. Zarazem zaprzestanie dokształcania się w rosyjskim byłoby posunięciem zdecydowanie przedwczesnym. Pozwala on bowiem uzyskać pełny obraz debaty publicznej (szczególnie narracji prorosyjskich), ale też umożliwia komunikację przykładowo w Gagauzji – gdzie wielu ludzi zwyczajnie nie mówi po rumuńsku – i w separatystycznym Naddniestrzu, o którego specyfice badawczej kilka słów powiemy nieco dalej. Posługiwanie się i rumuńskim, i rosyjskim może zatem okazać się swoistym „językiem u wagi”, czyniącym z naszych tekstów materiały wnikliwsze i trafniejsze niż te powstałe w oparciu o tylko jeden – lub przeważnie jeden – z tych języków.

## Planeta Kiszyniów

Przejdźmy do wspomnianej we wstępie geografii, sprzyjającej badaniom nad Mołdawią. Niewielka powierzchnia kraju sprawia, że podróżowanie po nim i dotarcie do poszczególnych jego regionów nie nastrocza szczególnych trudności. W ciągu jednego dnia można z Kiszyniowa dotrzeć gdziekolwiek, wziąć tam udział w kilku spotkaniach i jeszcze z owego „gdziekolwiek” wrócić do stolicy. Dojazd do Komratu, siedziby władz i największego miasta Terytorium Autonomicznego Gagauzji, to kwestia około dwóch godzin. Tyle samo zajmuje

droga do Bielc, drugiego co do wielkości ośrodka w kraju. W Naddniestrzu – nawet wliczając kontrolę „graniczną” – znajdziemy się w około półtorej godziny. Mówimy przy tym o transporcie publicznym, bo auto osobowe pokona te trasy znacznie szybciej.

Wprawdzie wyjazdy do regionów – zwłaszcza właśnie Gagauzji i Naddniestrza – są dla analityka niezmiernie ważne i stanowczo warto je praktykować, to za najistotniejsze dla mołdawioznawcy należy uznać wizyty w Kiszyniowie. W stolicy, a zarazem jedynej metropolii w granicach państwa, zamieszkałej przez ok. 800 tys. ludzi (33% ogółu populacji), skupia się jego życie polityczne i gospodarcze – tu podejmowane są kluczowe decyzje, tu działa zdecydowana większość firm, stąd nadają ogólnokrajowe media. Tu wreszcie zarejestrowano gros miejscowych organizacji pozarządowych, w tym niemal wszystkie think tanki, których w Mołdawii *per capita* jest chyba najwięcej w całym regionie poradzieckim.

W efekcie niemal cała elita intelektualna, polityczna i biznesowa kraju egzystuje w jednym mieście, co bardzo ułatwia dostęp do niej. Sprzyja temu również specyficzna urbanistyka mołdawskiej stolicy. Kiszyniów to ośrodek względnie rozległy, lecz życie polityczne, społeczne, zawodowe i kulturalne tętni w pierwszej kolejności w tzw. historycznym centrum, oplecionym siecią prostopadłych wobec siebie ulic i obejmującym z grubsza obszar 4 km<sup>2</sup>. Tam ulokowano większość biur, instytucji publicznych, ministerstw, NGO czy redakcji. Szybki spacer od jednego punktu do drugiego rzadko zajmuje więc więcej niż 15–20 minut.

Nagromadzenie wymienionych powyżej podmiotów w jednym mieście, a nawet w obrębie jednej dzielnicy powoduje, że obieg informacji, idei, ale też plotek bądź oszczerstw jest błyskawiczny. Przedstawiciele lokalnych elit politycznych, gospodarczych i dziennikarskich mają ze sobą permanentny kontakt, nierzadko odwiedzając – choćby w przerwie lunchowej – te same restauracje i kawiarnie, położone przecież na wspomnianych 4 km<sup>2</sup> centrum. Nieraz utrzymują także relacje towarzyskie, a nawet rodzinne (i to bez względu na oficjalne poglądy polityczne czy przynależność partyjną).

Mołdawski *beau monde* składa się zresztą w niemałym stopniu z ludzi, którzy razem studiowali lub kończyli te same szkoły średnie, a co za tym idzie – znają się od wielu lat. Ta dynamika towarzysko-zawodowa w połączeniu z charakterystyczną, wynikającą z kultury skłonnością mieszkańców do socjalizowania się oraz naprawdę dużą swobodą mediów sprawia, że informacje rozprzestrzeniają się niemal natychmiast. Tak naprawdę w Mołdawii trudno utrzymać cokolwiek w tajemnicy przez dłuższy czas.

Świetnie podsumowuje to dowcip, który dane mi było usłyszeć pewnego razu od zaprzyjaźnionego analityka, szefa jednego z kiszyniowskich think tanków. Oto spotykają się dwaj przyjaciele. – Zdradzę ci pewien sekret z mojego

życia. Ale obiecaj, że nikomu go nie powtórzysz – mówi jeden i dodaje: – Jeśli dotrzymasz tajemnicy, zapłacę ci 1000 lei! Rozmówca zgadza się, wysłuchuje sekretu i przyjmuje obiecaną gotówkę. Tydzień później panowie spotykają się ponownie. Tym razem ten, który wcześniej otrzymał pieniądze, natychmiast po przywitaniu się wyciąga z portfela plik banknotów i oznajmia: – Przyjacielu, nie mogę już dłużej trzymać tego, co powiedziałeś, w tajemnicy. Pozwól mi zrzucić z siebie ten ciężar. Zapłacę ci 2000 lei!

## Nie wypaść z obiegu

W miejscowych mediach znajdziemy liczne treści oparte na doniesieniach anonimowych informatorów (zwykle wiarygodnych), najczęściej piastujących dość wysokie stanowiska w strukturach administracji. Nikogo nie zaskakuje, że dziennikarz czy analityk chcący uzyskać informacje na temat danego wydarzenia albo procesu politycznego dzwoni wprost do prezydenta, szefa jego gabinetu lub któregoś z ministrów. Ba, część dyskusji, czasem gorących, między reprezentantami establishmentu toczy się publicznie w mediach społecznościowych, z bardzo popularnym Facebookiem na czele.

Lokalni eksperci, dziennikarze i politycy bardzo chętnie rozmawiają i wymieniają się opiniami ze swoimi zagranicznymi kolegami – co wprawdzie zależy od ich grafiku i obciążenia pracą, o czym nieco dalej. Potrzeba przy tym pewnej przezorności, bo w morzu interesujących faktów nietrudno trafić na wieść tyleż ciekawą, co będącą niczym więcej niż niepotwierdzoną plotką, która zostanie nam objawiona jako najczystsza prawda. W większości przypadków sytuacja taka będzie skutkiem nie chęci świadomego wprowadzenia nas w błąd (choć nie da się tego wykluczyć), lecz osobistych przekonań i sympatii danego interlokutora, które warto w związku z tym znać – lub tego, że ową plotkę usłyszał on od zaufanego kolegi, mającego w końcu również własne poglądy i mogącego ulegać znanemu wszystkim efektowi potwierdzenia.

Poza zdrowym sceptycyzmem, którym powinien wykazywać się analityk, jedyną metodą, by nie dać się zwieść fałszywym przekazom, polega na konfrontowaniu zasłyszanych opinii zarówno z własną wiedzą, jak i – co newralgiczne – z różnymi sądami i źródłami. Innymi słowy, nie wolno poprzestawać na jednej czy dwóch dyskusjach – korzystając z istnienia omówionego powyżej „systemu” opartego na swobodnej wymianie danych i przemyśleń, trzeba w nim po prostu aktywnie uczestniczyć: zbierać wszelkie możliwe zdania, zderzać je sobą (czasem wprost przedstawiając je kolejnemu rozmówcy), a w końcu dokonywać ewaluacji otrzymanych informacji.

Na marginesie dodajmy, że owa bliskość geograficzna i towarzyska członków kręgów władzy bądź wywodzenie się ich z tej samej grupy – przykładowo



rówieśniczej – stanowi klucz do zrozumienia dynamiki stosunków pomiędzy niektórymi postaciami mołdawskiej sceny politycznej. Nie chcę podawać konkretnych przykładów i nazwisk, dlatego pozwolę sobie tylko na ogólną konstatację: nie może dziwić, że w tak ciasnym środowisku jeden działacz wciąż pamięta, iż drugi prześladował go w szkole, obraził kogoś z członków jego rodziny, a może wdał się w romans z jego partnerką lub wręcz mu ją odbił, co oczywiście do dziś oddziałuje na ich relację.

Rzecz jasna do podobnych sytuacji dochodzi wszędzie, ale ze względu na niewielki rozmiar Mołdawii i silne powiązania miejscowej elity wydają się one właśnie w tym kraju zdarzać dużo częściej. Gdy więc badacz tamtejszej rzeczywistości próbuje odkryć, dlaczego dwóch konkretnych polityków żywi do siebie takie, a nie inne emocje – mimo że obaj reprezentują choćby to samo ugrupowanie – powinien się zastanowić nad tym, co pozapolitycznego mogło wpłynąć na ich wzajemne stosunki.

Generalnie na dynamikę mołdawskiej polityki wewnętrznej – choć mamy do czynienia z państwem – dobrze niekiedy spojrzeć przez pryzmat wzorców znanych z naszych samorządów, a nie organów centralnych. To bynajmniej nie przytyk ani próba uchybienia tamtejszym rządzącym. Po prostu koncentracja życia publicznego w Kiszyniowie, bliskie powiązania towarzyskie między przedstawicielami establishmentu ponad podziałami partyjnymi oraz zwyczaje, święta, śluby i inne uroczystości sprzyjające intensywnej socjalizacji nadają tejże sferze taki właśnie specyficzny, „małomiasteczkowy” koloryt.

## Pozory...

Mówiliśmy już o tym, że w Mołdawii pozory potrafią mylić – wiele spraw nie jest tak jednoznacznie czarno-białych, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Od tej banalnej konstatacji przejdźmy do konkretnych przykładów, które mogą się przydać badaczowi.

Pierwszy będzie dotyczył krajowej sceny politycznej. Tradycyjnie dzielą ją między siebie ugrupowania nazywane prozachodnimi (określa się je mianem „prawicy”) oraz prorosyjskie („lewica”). Kika akapitów temu przekonał się, że prozachodniość nie zawsze – a nawet rzadziej niż częściej – pociąga za sobą faktyczną chęć walki z korupcją, deoligarchizacji państwa czy wdrażania wymaganych przez umowę stowarzyszeniową z UE z 2014 r. reform koniecznych do integracji z nią.

Doskonale świadczy o tym postępowanie nie tylko wspomnianego premiera Filata, w 2019 r. zwolnionego warunkowo z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za współudział w „kradzieży miliarda”, lecz także Plahotniuca – drugiego z liderów powstałej w 2009 r. „proeuropejskiej koalicji”, który odkąd zbiegł



z kraju w 2019 r., ukrywa się najpewniej w Turcji lub Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Wprawdzie rządząca w chwili ukończenia tego tekstu Partia Działania i Sprawiedliwości (PAS) oraz jej rzeczywista liderka – prezydent Maia Sandu – wydają się wyłamywać z tej przykrej reguły i szczerze dążyć do uzdrowienia państwa, niemniej do każdej mołdawskiej siły deklarującej się jako proeuropejska warto zachować podejście krytyczne.

Wbrew pozorom zasada ta w wydaniu *à rebours* ma również zastosowanie do ugrupowań prorosyjskich. Choć te promują narrację kremlowską i często otrzymują wsparcie polityczne, eksperckie, a nawet finansowe z Moskwy, to uznawanie ich z góry za powolne narzędzie Kremla byłoby uproszczeniem. Rządzący w Kiszyniowie – a szczególnie członkowie „lewicy” – rzadko są ludźmi ideowymi i zwykle dbają nie tyle o dobro Rosji czy „tradycyjnej przyjaźni” między obydwojema narodami, ile o własne korzyści. Współpraca z Moskwą i głoszenie takich, a nie innych poglądów im się po prostu opłaca. Dzięki temu mogą liczyć na pomoc – materialną i niematerialną – oraz głosy całkiem sporej grupy obywateli, którzy opowiadają się za bliskimi relacjami z FR, żywią niechęć do „zachodnich wartości” (w wersji prezentowanej przez rosyjską propagandę) lub obawiają się wchłonięcia ich ojczyzny przez Rumunię. Ponadto opcja prorosyjska jest dla „lewicy” atrakcyjna jeszcze z jednego powodu: nie wymaga wdrażania bardzo niewygodnych dla części elit reform (np. wymiaru sprawiedliwości), na których przeprowadzenie naciska Bruksela, a które uderzyłyby w portfele wielu skorumpowanych ludzi władzy i powiązanych z nimi biznesmenów.

W praktyce oznacza to, że duża część krajowego obozu sympatyzującego z Moskwą to po prostu oportuniści i politycy „obrotowi”, którzy nie będą ślepo wykonywali poleceń płynących z Kremla, a na pewno nie zrobią tego wbrew swojemu interesowi materialnemu. Analizując ich postępowanie, należy o tym pamiętać.

O prawdziwości tej reguły świadczą liczne przykłady. Dość rzec, że to rządząca w latach 2001–2009 zasadniczo prorosyjska Partia Komunistów Republiki Mołdawii (PCRM) rozpoczęła pod wodzą prezydenta Władimira Woronina – ostatniego szefa MSW Mołdawskiej SRR – proces zbliżenia z UE. Następny prominentny członek tego ugrupowania, Igor Dodon, swego czasu otwarcie opowiadający o korzyściach z podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią, kilka lat później – gdy tylko stało się to opłacalne – ponownie zmienił zdanie, co tylko potwierdza tezę o „obrotowości” polityków tej orientacji.

Zarazem wieloletni działacz PCRM, a następnie również prorosyjskiej Partii Socjalistów Republiki Mołdawii (PSRM) Ion Ceban niedługo po objęciu w 2019 r. stanowiska burmistrza Kiszyniowa (w czym mieli mu pomóc rosyjscy spin doktorzy) zaczął stopniowo przeobrażać się w przeciwnika zbliżenia z Moskwą, a dziś regularnie wizytuje unijne stolice i kieruje własnym

ugrupowaniem głoszącym konieczność przystąpienia do UE. Choć szczerość tych poglądów pozostawia wiele do życzenia, to jedno wydaje się pewne – w tej chwili zapewniają mu one powodzenie.

Należy przy tym zaakcentować, że opisana zasada dotyczy polityków na co dzień żyjących i prowadzących interesy (w tym finansowe) w Mołdawii, mających tam majątki, rodziny i pozycje w ramach lokalnych powiązań społecznych. Ci, którzy z tych struktur zostali w ten czy inny sposób wyłączeni i musieli zdać się na łaskę i niełaskę Kremla, są gotowi na dużo większe poświęcenie i bezwzględność w działaniu oraz mniej skłonni do zmiany frontów.

Taką postawę egzemplifikuje Ilan Șor – multimilioner uznawany za architekta wspomianej kilkakrotnie „kradzieży miliarda” z 2014 r. Człowiek ten posiada obywatelstwa izraelskie i rosyjskie oraz objęty jest kremłowską protekcją, a od 2019 r. przebywa za granicą. Stanowi kluczowy instrument oddziaływania FR na mołdawską politykę, ponieważ – mimo skazania na karę wieloletniego pozbawienia wolności – wciąż kieruje kilkoma partiami, które w sumie mogą liczyć na kilkanaście procent poparcia. W 2024 r. pozwolił sobie na największą w historii państwa akcję manipulacji wyborami – po prostu kupił ok. 130 tys. głosów od chętnych do ich sprzedaży obywateli. Wraz z rodziną mieszka pod Moskwą, a środki finansowe ukrywa w rajach podatkowych i w samej Rosji. Kieruje się zatem inną motywacją niż prorosyjscy politycy przebywający na stałe w kraju.

Kończąc ten wątek, podkreślmy jeszcze raz, że powiązania społeczne mają w Mołdawii niebagatelne znaczenie. Nie chodzi przy tym wyłącznie o omówione już relacje towarzyskie czy rodzinne, ale i o lokalną klanowość. Otóż niepewne własnej tożsamości, a przy tym pozbawione wcześniejszych doświadczeń samodzielnej państwowości i wywodzące się w większości z warstw chłopskich społeczeństwo przywiązuje ogromną wagę do szeroko rozumianych związków rodzinnych. Zgodnie z tradycją za członków rodziny uważa się tam nie tylko faktycznych krewnych bądź małżonków, lecz także chrześniaków i chrzestnych, świadków ślubu etc. Przynależność do niej tworzy bardzo silną więź i rodzi zobowiązania znacznie przewyższające te wobec państwa i jego instytucji, które – ze względu na ów brak tożsamości obywatelskiej oraz słabość państwa – postrzega się jako efemeryczne, w przeciwieństwie do trwałego bytu, jakim jest rodzina.

W efekcie można mówić o występowaniu w tym kraju właśnie klanowości, przypominającej nieco tę znaną m.in. z Azji Centralnej. Fenomen ten obejmuje również elity rządzące, co prowadzi do powszechnego kumoterstwa i nepotyzmu. Liderzy polityczni w sposób naturalny angażują bowiem w swą działalność członków klanu. Tym najsłynniejszym między Prutem a Dniestrem był do tej pory ten stworzony przez Plahotniuca, który na niewralgicznych dla trwałości

systemu oligarchicznego stanowiskach obsadził własnych „krewnych”. I tak jego prawą ręką został Andrian Candu, na którego ślubie pełnił zaszczytną funkcję *nănaşa*, czyli „ojca chrzestnego” młodej pary. Świadomość istnienia w świecie polityki i biznesu powiązań tego typu jest często warunkiem *sine qua non* zgłębienia miejscowych realiów.

### ...i praktyczne trudności

Choć w Mołdawii łatwo włączyć się w dyskusję publiczną i cały „obieg informacji”, to każdy badacz raczej wcześniej niż później napotka pewne praktyczne trudności „techniczne” wynikające z lokalnej specyfiki kulturowej. Jej poznanie pozwoli uniknąć nieporozumień, nerwów i potencjalnego zniechęcenia do tematu lub złego odczytania intencji rozmówców. Chodzi przede wszystkim o kwestię umawiania spotkań. W przeciwieństwie do mieszkańców wielu innych państw europejskich Mołdawianie nie lubią tego robić ze zbytnim wyprzedzeniem. Może się zdarzyć, że osoba, do której zwrócimy się z prośbą o spotkanie miesiąc przed planowaną wizytą w Kiszyniowie, odpisze nam tylko: „Proszę dać znać bliżej dnia przyjazdu”. Nie ma w tym nic dziwnego i nie należy się tym zrażać – to w zasadzie odpowiedź pozytywna, oznaczająca, że ktoś jest zainteresowany rozmową.

Jeśli jednak określimy konkretną datę i godzinę spotkania (a szczególnie jeśli uczynimy to właśnie miesiąc wcześniej), to warto w przeddzień potwierdzić je raz jeszcze. Nie chodzi nawet o to, że nasz interlokutor zwyczajnie o tym wydarzeniu zapomni (choć i to się zdarza), ale o niechęć do otwartego przyznania, a zarazem „zrobienia nam przykrości”, że niestety nie będzie w stanie z tych lub innych przyczyn pojawić się w umówionym miejscu.

To konsekwencja innej wartej uwagi cechy wielu Mołdawian – swego rodzaju grzeczności, skutkującej niekiedy niemałym zamieszaniem. Wydaje się, że spadkobiercy gospodarów Stefana Wielkiego i Dymitra Kantemira po prostu nie lubią odmawiać swoim gościom. Może się więc zdarzyć tak, że gdy nie zapytamy ich wprost, przykładowo dzień przed spotkaniem, to nie powiedzą, iż nie mogą na nie przybyć. Nie jest to przejaw braku szacunku, ba, takie zachowanie często wynika właśnie z sympatii oraz pewnej nieśmiałości.

### Poznać nie(u)znane

Poświęćmy teraz kilka akapitów specyfice badania separatystycznego Naddniestrza. Informacje o funkcjonowaniu tego regionu nie są dostępne tak szeroko jak te o Mołdawii „właściwej”, tj. prawobrzeżnej, kontrolowanej przez władze w Kiszyniowie, ale nie można mówić o olbrzymim deficycie wartościowych

źródeł i bieżących opracowań. Ciekawych treści – zwłaszcza z zakresu działania lokalnej gospodarki czy energetyki – dostarcza już lektura „oficjalnych” materiałów zamieszczanych przez poszczególne instytucje tzw. administracji tego parapaństwa. Zwykle nie są one fałszowane (niewygodnych faktów po prostu się nie ujawnia), ale nieraz przed publikacją poddaje się je odpowiednim machinacjom.

Do niedawna najlepszy przykład stanowiły tu dane handlowe. Nie jest tajemnicą, że zdecydowana większość (70–80%) naddniestrzańskiego „eksportu” od lat trafia do prawobrzeżnej Mołdawii oraz UE. Władze w Tyraspolu nie chcą się tym jednak chwalić, gdyż fakt ten przeczy narracji o „gigantycznej” roli, jaką w gospodarce regionu odgrywa Rosja. Dlatego też w oficjalnych komunikatach często trafiamy na informacje o udziale FR nie w eksporcie Naddniestrza (bo wynosi on ledwie kilka-kilkanaście procent), lecz w jego całkowitej wymianie handlowej (kilkadziesiąt procent), jako że do początku 2025 r. nieuznawana republika pozyskiwała stamtąd 100% gazu. I choć za dostawy nie płacono, to wartość rynkowa ok. 2 mld m<sup>3</sup> surowca rocznie trafiała do baz danych jako import. To zaś czyniło z Moskwy zdecydowanie największego partnera handlowego Tyraspolu.

Poza źródłami wewnętrznymi sporo uwagi poświęcają sytuacji w separatystycznym regionie think tanki na prawobrzeżu. Podmioty takie jak Watchdog.md, Expert-Grup, IDIS Viitorul, IPRE i IPIS, na co dzień skupiające się głównie na kwestiach wewnątrzmołdawskich, prowadzą projekty lub regularnie wydają biuletyny dotyczące parapaństwa. Warto także śledzić stronę Biura ds. Reintegracji (rządowej agencji zajmującej się stosunkami z Tyraspolem) i wywiady, których zwykle dość chętnie udzielają szefowie lub byli wódcarze tej instytucji. Dobre rozeznanie w tematyce Naddniestrza tradycyjnie mają też przedstawicielstwo UE w Kiszyniowie oraz lokalna misja OBWE.

Wiedzę ze źródeł „wewnętrznych” i „zewnętrznych” trzeba uzupełniać wizytami w regionie, pozwalającymi na własne oczy zapoznać się tamtejszymi problemami, rzeczywistością i poziomem życia. Nic w tym trudnego – do Tyraspolu i Bender z Kiszyniowa co kilkadziesiąt minut odjeżdżają rejsowe marszrutki (tj. powszechne w krajach Europy Wschodniej minibusy poruszające się po określonych trasach i zatrzymujące na żądanie pasażerów), które w ciągu niecałych dwóch godzin docierają na lewobrzeżną stronę Dniestru. Jeśli nie planujemy oficjalnych spotkań z przedstawicielami lokalnych „władz”, a co za tym idzie – nie ubiegamy się o akredytację (obywatelom państw zachodnich od 2022 r. i tak właściwie się ich nie przyznaje), wystarczy nam wjazd turystyczny. Spotkania z „rządzącymi” nie mają zresztą większej wartości badawczej, gdyż nie należy się z ich strony spodziewać niczego poza oficjalnymi komunikatami, z którymi można zapoznać się przed podróżą.

Pobytu w parapaństwie nie należy się szczególnie obawiać. Drobną przestępczość niemal tam nie występuje, a struktury bezpieczeństwa raczej nie będą nas zaczepiały, oczywiście dopóki nie przestaniemy zachowywać się rozsądnie i zgodnie z lokalnymi przepisami. Zanim zajmiemy miejsca w marszrutce, warto natomiast poważnie zastanowić się nad sensem zabierania laptopa bądź smartfona, na którym przechowujemy wrażliwe dane. Miejskowe sieci teleinformatyczne – w tym Wi-Fi – znajdują się pod pełną kontrolą aparatu „państwowego”. Nie należy też próbować wwozić do regionu publikacji o charakterze politycznym (w tym tekstów analitycznych, podręczników, książek popularnonaukowych itd.), gdyż w razie kontroli lokalne „KGB” może uznać je za wystarczający powód, by nas tam nie wpuścić.

Na zakończenie obalmy powtarzany w przestrzeni medialnej, a wypaczający analizę sytuacji mit o 100-procentowej kontroli Rosji nad Naddniestrzem. Nie ma wątpliwości, że ta nieuznawana republika jest de facto protektoratem sąsiada: na jej terytorium stacjonują wojska rosyjskie, a wsparcie energetyczne ze strony FR stanowi kroplówkę, bez której ekonomika regionu załamałaby się. Ale – poza kilkoma „ministerstwami” (spraw zagranicznych, bezpieczeństwa państwa, obrony i pochodnymi) – Moskwa nie sprawuje tam władzy bezpośredniej. Zdecydowaną większością aparatu administracyjnego zarządza miejscowy koncern Sheriff. To jego przedstawiciele de facto kierują rządem, zasiadają w ławach tamtejszego „parlamentu”, nadzorują lokalną milicję i zawiadują gospodarką. Reprezentant Sheriffa – Wadim Krasnosielski – piastuje zaś stanowisko „prezydenta”.

Oczywiście ludzie ci współpracują z Moskwą i bardzo na niej polegają (zwłaszcza energetycznie), lecz nie są rosyjską ekspozyturą, a raczej narzędziem wykorzystywanym przez Kreml do realizacji polityki w tej części świata. Przez lata w zamian za posłuszeństwo umożliwia on elicie koncernu zarabianie ogromnych pieniędzy na sprzedaży wytworzonych tanio (bo z darmowego gazu) produktów bogatym państwu UE. Szefostwo Sheriffa – podobnie jak prorosyjscy politycy w prawobrzeżnej Mołdawii – myśli jednak głównie w kategoriach własnych interesów i potencjalnych zysków. Dość powiedzieć, że gdy Rosja napadła na Ukrainę w 2022 r., jego retorycznie prorosyjskie władze zaczęły obawiać się zajęcia parapaństwa przez armię mołdawską i wywłaszczenia ich (lub nawet fizycznej eksterminacji).

Wszystko to sprawia, że w obliczu słabnącego gwałtownie od 2022 r. oddziaływania Rosji na region „władze” w Tyraspolu – a przynajmniej sektory administracji i gospodarki niezarządzane bezpośrednio z Moskwy – wysyłają niekiedy do Kiszyniowa nieśmiałe sygnały gotowości do takich lub innych ustępstw w zamian za zachowanie takich lub innych wpływów i zysków. To kolejny przykład zawiłości realiów i sieci relacji, które należy mieć na uwadze, próbując zrozumieć małą, lecz wielowymiarową Mołdawię.

## Kraina cudów

Dla analityka Mołdawia nie ma prawa być państwem nudnym. Często jej obywatele ironicznie nazywają swoją ojczyznę krainą cudów, w której może się zdarzyć wszystko (nawet „kradzież miliarda”). Skandale, a także złożoność i wielość zjawisk oraz dotyczących kraj problemów – choć niewątpliwe niosą utrapienie jej mieszkańcom – czynią z niego pasjonujący temat obserwacji badawczej. Media żyją oraz rozpowszechniają najróżniejsze opinie i poglądy. Scena polityczna – niezabetonowana i nieautorytarna jak w Rosji czy na Białorusi – ulega ciągłym i dynamicznym przeobrażeniom, jest rozedrgana i rozdyktowana.

Proces integracji europejskiej i stopniowej desowietyzacji z roku na rok postępuje i na oczach jego obserwatorów przekształca wizerunek kraju. Zmienia się również jego społeczeństwo. Do tego, mimo niewielkiej powierzchni, jest on zróżnicowany – Gagauzja na południu, Naddniestrze na wschodzie czy rosyjskojęzyczne Bielce na północy składają się na to, że ziemie między Prutem a Dniestrem stanowią istny tygiel przekonań i tożsamości. Wreszcie ludzie – bardzo otwarci, chętni do podejmowania dyskusji i wymiany opinii, a poza tym po prostu gościnni. To ten niepowtarzalny zestaw elementów powoduje, że badania nad Mołdawią to zajęcie tyleż ciekawe, co niezwykle satysfakcjonujące i najzwyczajniej przyjemne. Zajęcie, któremu warto się poświęcić.